TYGODNIK KATOLICKI.

1868. Grodzisk, 14 lutego. № 7.

Tygodnik katolicki wychodzi co tydzień w Piątek. Cena prenumeraty 1 Tal. ćwierćrocznie. Listy z zagranicy adresować należy do Poznania (Posen, Grand Duché de Posen.) Redakcyja odbiera tylko frankowane korespondencyje. Rękopisy zwracają się tylko na wyraźne poprzednie żądania. Po użyciu ulegają niezwłocznie zniszczeniu.

Ultramontanie i polskie katoliki.

Doba nasza jest przeważnie fabryczna. Fabrykuje się wszystko, począwszy od czernidla do skrobi, aż do rewolucyj, myśli, mowy i mądrości saméj. Jest w tym postęp widoczny! Gdy starożytna Grecyja ledwie się na siedmiu mędrców zdobyla, Roma nie miała ani jednego filozofa, obydwie mężów stanu niewielu: dziś lada rzemieślnik rozstrzyga o niedocieczonych zadaniach z pewnością wyroczni, przesypywa społeczeństwo, buduje państwa nie słowy tylko, lecz zaraz czynem! Jakkolwiek zaś tegoczesne wyroby fabryczne zdumiewają osobliwością i oryginalnością, nie trzeba jednak mniemać, jakoby fabrykacyja była dziełem zbytnie trudnym. Czegoż wymaga fabryka? Jednéj lub dwu machin i to żywiołami pędzonych, kilka patronów, kilka szablonów, mniéj lub więcéj bezmyślnych robotników — i oto sypią się wyroby, na których mnogość osłupieliby płodny Dedalus i uczony Arystoteles. Fabrykuje się dziś, rzekliśmy, nawet myśl i mądrość sama. A do tego nie potrzeba wielu przyborów. Kilku haseł pochwytanych, jako np. ludzkość, postęp, oświata, wolność; te się nieustannie przemięszywa, — a oto zalewą nas potop mądrości. Co owe słowa znaczą, jaka je głowa wymyślała, jakie usta rzuciły, jaka ich doniosłość, nad tym nie potrzeba zastanawiać się wcale. — Każden niech sobie rozumie, co chce, niech je zastosowywuje jak mu się podoba, źle czy dobrze, co tam fabrykantowi do tego, byle on swój popstrzony papier zamienił na złoto, nie, znowu na popstrzony papier, bo złota nie mamy. Rzecz niezawodna, że przy naszéj niebywałéj gadatliwości, w głowach naszych wcale ubogo. Ciskamy bez tchu słowami donośnemi, jakby piłkami. A zażądaj od takiego dzisiejszego, nieraz gołowąsego Sokratesa (bo dziś mądrość przychodzi z pierwszym meszkiem) jasnego określenia wyrazu, dowodnego poparcia sądu: a najczęściéj — zaniemieje? Gzież tam, spiorunuje cię najpewniéj, żeś zacofany wstecznik, żeś wróg oświaty, postępu, ludzkości. A już to szczególnie nasza kochana Polonija lubuje osobliwie w próżnéj szermierce językowéj! Niemiec, Francuz, będzie najzacieklejszym radykalistą, ale przynajmniéj umié poprzeć uczenie zdanie swoje. Jakim jest, jest pospolicie z przekonania głębokiego. U nas najczęściéj lexykonowa nauka, im uniwersalniejsza, tym płytsza i wątlejsza. Stąd też cieszymy się niepospolicie, gdy się nam uda upolować jakieś określenie, którego z nowożytnych haseł, nie żeby te określenia wiele warte były, bo pospolicie: głowa pożera ogon, t. j. początkowi zaprzecza koniec; lecz że mamy przynajmniéj coś, czym zaczepić się możem z przeciwnikiem. Tak wykrzyknęliśmy: *εὕρεκα*, gdyśmy w *Przeglądzie Polskim*, rok II zeszyt VII w powieści *Bolesławity* pod tytułem: *Hybrydy*, znaleźli bliższe określenie *Ultramontan*, tego słowa, które postępowcy prawym katolikom rzucają w obeldze, wyrządzając im przeto największy zaszczyt. Posłuchajmyż, co są ci niefortunni, owszem niebezpieczni Ultramontanie. Przytaczamy dotyczący ustęp:

Nieokreślonego pochodzenia żywioły polskie mieszały się tu razem — począwszy od rzadkich i fenomenalnych, jak archeologiczne zabytki mirosławczyków i socyjalistów, demokratów — aż do pobożnych, potocznych, ale niewzruszonych w zasadach ultramontanów.

Trudno, bo inaczéj nazwać członków téj spójnéj części narodu, która w nieograniczonéj uległości Kościołowi szuka podpory i ratunku dla świata, kraju i siebie, tuli się pod dach świątyni i wyrzeka własnéj woli.

Wyrzucać choćby ultra-katolikom ich katolicyzm, byłoby toż samo, co im mieć za złe, że Polakami zostali. Polska dopóty jest sobą, dopóki katolicką; ale tradycyje narodu jasne, widoczne, czytelne w dziejach; dowodzą, że katolicyzm nasz polski nigdy tym oślepłym niewolniczych form katolicyzmem nie był, jaki inne zupełnie stósunki wyrobiły na Zachodzie.

Do takiego obcego nam ultra-katolicyzmu uciekli się, przetwarzając go na swój sposób u nas, wszyscy przeciwnicy rewolucyji, gwałtu, niepokoju, ludzie legalni, znękani wstrząśnieniami nieustannymi.

Jest to dziś więcéj polityczny przytułek, przyległy do religijnéj ściany, niż głębokie jakieś przekonanie.

Smutno to wyznać, tak jest przecie. Mała garstka idzie z zasadami, reszta może z niezupełnie fałszywą rachubą.

W Austryji z takim katolicyzmem ostatecznym wytrwać i utrzymać się jest jeszcze możliwym, ale w innych krajach narażony on jest na nieustanne oznaki, bo władza, którą szanować musi *quand-même*, niedowierzającym nań patrzy okiem.

Szczególniéj pod panowaniem Moskwy, którą oni chcieliby mieć po sobie, nawrócić ją, przejednać z Rzymem, położenie nie do wytrwania. Zasada każe czcić i szanować ten rząd tatarski, który odrzuca, odpycha, niszczy i prześladuje. Zbliżyć się doń w imie zachowawczych ideji ani sposobu, bo tu nic on nie zachowuje, jak w wieży Babel, wszystko się co chwila rozrzuca pod pozorem przerabiania.

Przyznać jednak należy, że na całéj przestrzeni dawnéj Polski ściślejsi katolicy, nieprzyjaźni wszelkiemu gwałtowniejszemu ruchowi, wszelkiéj pracy nieoznamionowanéj najściślejszą orthodoksyją, sami jedni stanowią jeszcze (może nie wiedząc o tym) jakąś mimowolnie sponte wytworzoną całość. Zrodziła ich wola, ale raczéj natura. Tylko oni we wszystkich

kraju rozerwanych częściach, w emigracyji, w rozproszeniu mogą się zrozumieć, pogodzić i iść razem.

Winni to są niewzuszoności nauki, która nietylko dogmat ściśle określa, ale wszystkie jego do życia praktycznego zastósowania, zgóry i niewzruszenie oznacza. Najmniejsza różnica pojęć byłaby heterodyksyją, rozum więc abdykować musi. Na wszystko są prawidła niezłomne, a w braku ich są ludzie autorytetu, których orzeczenie nieodwołalnym jest wyrokiem.

To zaparcie się siebie daje siłę wielką.

Nie może być zadaniem powieści wniknąć głębiéj w przyszłość i rolę dzisiejszą téj gromadki ludzi, która posiada sama jedność, spójność, zgodę, środki do życia i trwania.

W stosunku jéj do kraju, do staréj polskiéj Ojczyzny — dziwne tu z saméj doktryny wynikają anomalije. Oni nie mogą mieć innéj ojczyzny, nad niebieską, a na ziemi rzymską stolicę.

Położenie ich względem ziemskiéj jest też trudne, a polityka zawisła na zdaniu w ręce Opatrzności losów narodu, aż do ostatecznego zaparcia się wszelkiego czynu.

Wiemy nawet, że w stronnictwie tym jest jeszcze odcień, któryby chętnie Polskę poświęcił nawróceniu Moskwy! uwydatnił on się dopiero ostatnimi czasy.

Nawrócenie Moskwy! Samo to wyrażenie dziś jest już śmiesznym, a myśl dziecinna; tylko o tysiąc mil od Warszawy o czymś podobnym zamarzyć można.

Z katolikami polskimi, takimi, jakich tworzy tradycyja narodowa, katolicyzm zapożyczony z Zachodu, jest jeśli nie w antagonizmie, to względem nich wydaje się także hybrydem. My byśmy łatwiéj przystali do Montalamberta, oni chętniéj garną się do krańcowego i cynicznego Veuillota.

Prześladowania religijne Moskwy dają siłę stronnictwu, które pokornym, biernym, ale stałym oporem, czerpiącym siły z po za kraju stoji niewzruszenie przy wierze.

Stoji, lecz znowu z zasady szanując wszelką władzę, choć by była w ręku schyzmatyków i pogan, musi jéj ustępować, przyznawszy jéj pochodzenie Boże. Jak daleko ustąpić będzie musiała i mogła...? ?

Dowiadujemy się tu, że:

Ultramontanie (inaczéj ultra-katolicy, katolicy ściślejszéj obserwancyji, ludzie katolicyzmu ostatecznego) są wedle autora wprawdzie katolikami, ale nieokreślonego pochodzenia, którzy w nieograniczonéj uległości kościołowi, szukają podpory i ratunku dla świata, kraju, siebie. Tulą się oni pod dach świątyni i wyrzekają własnéj woli. Należą do nich wszyscy przeciwnicy rewolucyj, gwałtu, niepokoju, ludzie legalni, znękani wstrząśnieniami nieustannemi. Ultramontanizm jest to więcéj polityczny przytułek, przyległy do religijnéj ściany, niż głębokie jakieś przekonanie. Mała garstka idzie z zasadami, reszta z rachubą; a przecież stronnictwo stoji niewzruszenie przy wierze. Choć mała garstka idzie z zasadami, jednakże stronnictwo z zasady szanując wszelką władzę nawet schyzmatyckiéj ustępuje, a przecież staje jéj stałym oporem. Kto do stronnictwa tego przystąpi, z rozumu abdykować musi, przyjąć musi niewolnicze formy oślepłego katolicyzmu. Ale znowu to zaparcie się siebie, daje siłę wielką. Tylko ultramontanie we wszystkich kraju rozerwanych częściach, w emigracyji, w rozproszeniu mogą się zrozumieć, pogodzić, i iść razem. Gromadka tych ludzi posiada sama jedność, spójność, zgodę, środki do życia i trwania. Otóż mamy Ultramontanów!

Niechże nam teraz wolno będzie pokornie schylić głowę i wyznać, iż przytoczonego, nader głębokiego, bo z nałapanych sprzecznych słów i sprzecznych pojęć, z kilkunastu pauz kropkowanych i ciągłych, z kilkunastu wykrzykników i pytajników ulepionego fabrykatu nie rozumiemy wcale. Twarde Sfynx zadawała zagadki, ale przecież trafił się jakiś Oedypos co je rozwiązywał, bo choć ciemne, jednakże logiczne. Lecz odtamtąd postąpiła ludzkość. A nasze osobliwie czasy już nie kroczą krokiem olbrzyma, lecz mkną naprzód ku nieskończonemu postępowi lotem błyskawicy. Dziś zimne mieści się z gorącem, czarne jest zarazem białem, gorzkie wraz i słodkiem. Tak samo w określeniu. Brak zasad, a przekonanie głębokie; ustępywanie a upór; brak rozumu i woli a znowu porozumienie i jedność i środki do trwania, wyrzeczenie się ojczyzny i czynu wszelkiego, a znowu jakaś dążność polityczna. Kto to zrozumi? Jak z wieży Babel. Téj łamigłówki nie potrafim rozwiązać; dla nas dosyć skonstatować, że Ultramontanie są katolikami, bo mówi autor: Wyrzucać choćby ultramontanom ich katolicyzm, byłoby toż samo, co im mieć za złe, że Polakami zostali (zostali?) Konstatujemy daléj, że katolicyzm ultramontanów jest ten sam co rzymsko-katolicki, kiedy z Zachodu przyniesiony, kiedy Ultramontanie chcieliby Moskwę pojednać z Rzymem, kiedy mają na ziemi rzymskiéj stolicę i t. p. Katolicyzm zaś rzymski, znany dobrze. Jest to rzecz stara bardzo, nauka niewzruszona. A teraz opierając się o coś pewnego, jasnego, trwałego, możem osądzić o ile określenie Ultramontanizmu przez Bolesławitę, zgadza się lub mija z prawdą; lubo nie wszystko poruszać myślim, coby potrzebowało sprostowania, bo co o takich wyrazach mówić, jak np. „Ultramontanizmu nieokreślone pochodzenie, przetwarzanie katolicyzmu“ i t. p.

A najpierw mamy słuszne powody mniemać, że Ultramontanie nigdy nie abdykowali z rozumu. Bośmy wglądnąwszy w ich symboliczne księgi, wyczytali, że katolik wprawdzie niektóre wyższe nad rozum i niepojęte twierdzenia za prawdę przyjąć winien: ale nigdy twierdzeń rozumowi się sprzeciwiających. Nie wszystko zaś jest bezrozumnym, czego pojąć nie mogę, są tu dwie kategoryje prawd, zupełnie odrębne, jedna drugiéj nie wykluczające. Trudniejszą nierównie nad dogmat katolicki stawia autor tajemnicę, twierdząc o Ultramontanach, że bezrozumni, ale oraz: że trzymają razem, znają cel i środki, do czego przecież potrzeba pewnéj, nawet niepospolitéj miarki rozumu.

Toż samo zaręczamy autorowi, że katolicy woli wolnéj, nie wyrzekają się nigdy. Bo chociaż nauka katolicka, iż przypuścimy wyrazy autora: wszystkie dogmatu do życia praktycznego zastosowywania z góry i niewzruszenie oznacza, nie wypływa stąd wcale iżby już wolą zupełnie wyznawcom swojim odbierała. Etyka katolicka, jak wszelka etyka nawet nie katolicka, z istoty swéj niewzruszenie oznaczać musi, co dobre albo złe w zastosowaniu, inaczéj nie byłoby etyki. Czy nie zasłyszał autor nigdy, że Kościół katolicki z Luteranami ostre staczał o wolności woli boje? Albo się może chce kierować wieczną wszystkich postępowych mędrców taktyką: *Calumniare audacter, semper aliquid haeret*!

Etyka katolicka woli nie pozbawia wolności, jeżeli etyki innych wyznań tego nie czynią. Etyka wszelka jest wskazówką dla woli. Etyki swawoli nie mieliśmy jeszcze nigdy, jeżeli jéj massoni niewy-

dadzą. Co o ludziach autorytetu pisze autor, to oczewista, że jeżeli ludzie tego autoramentu mają jaki przywiléj, to on ma chęć wyzyskać go na swą korzyść. W Kościele katolickim ta autoritas na Piśmie św. i na Podaniu powszechnym oparta, nie jest i nie może być indywidualnym wyzyskiwaniem cudzéj woli jakie się w tajniach spiskowców praktykuje. A jak zbawienna ta autoritas, kiedy prowadzi, jak autor przyznaje, do jedności, spójni i jedną ma nadzieję przyszłości! Nie wiem nawet, czy możliwe jakiebądź przedsiewzięcie bez autoritetu. Czy prowadzenie półku, czy wygranie bitwy, czy kierownictwo okrętem, czy fabryką zapałek; wszędzie tam jakaś autoritas się wśliźnie. Lecz może raczéj autor w przystępie dobrego humoru w żarty z nami się bawi, bo mówi jednym a tym samym tchem: iż nauka określa wszystko; są prawidła niezłomne na wszystko, a oraz: iż jest brak określenia, a w tym wypadku ludzie autoritetu. Więc znowu spotykamy się z niemiecką na wszystko formułą: twierdzenia i przeczenia, z których skojarzenia wypływa: aby wszystką starą rzeczywistość wyrzucić do czarta i żyć po bydlęcemu. Zapewniamy przytym autora, że nie wszystkie różnice pojęć Kościół obkłada heterdoksyją, czego są dowodem różne spory naukowe w kościele, co zdaje się sam autor, jak zwykł, sprzeciwiając się sobie, przyznawać, gdy w jednéj świątyni mieści Montalemberta i Veuillota, mimo różnicy w ich zdaniach; a nawet u Ultramontanów upatruje odcienia.

Poczuwamy się też tutaj do podziękowania p. Bolesławicie, że nas odsądzając od polskiéj ojczyzny, przynajmniéj raczył pozostawić przy Rzymskiéj. A luboć też ze wszystkimi katolikami, a przynajmniéj Ultramontanami całéj kuli ziemskiéj dzielić się musim, jednakże nam tam wcale wygodnie, zwłaszcza, gdy się jest za łaską już nie wroga, ale rodaka z własnéj wyrzuconym na bruk. Wszelakoż, czy tylko nie na zmartwienie autora wyjawiamy naszą tajemnicę, że my ultramontanie prócz rzymskiéj mniemamy być w posiadaniu jeszcze drugiéj, ziemskiéj, i to nie innéj, tylko polskiéj. Mamy ojczyznę tak dobrze, jak ją mieli w pierwszych trzech wiekach rzymscy chrześcijanie, chociaż był bałwochwalcą Cezar, tak dobrze, jak ją dzisiaj mają angielscy katolicy, albo chrześcijańscy poddani Padyszacha! Przyznajemy wprawdzie autorowi, że położenie nasze względem ziemskiéj (któréjże? rzymskiéj czy polskiéj? gdyż od polskiéj powyż odsądził) jest trudne, jak podobnoć nas wszystkich, co w tym okręcie doczesnym płyniemy; nie zapieramy też, że losy narodu jako i nasze własne, zawsze nawykliśmy zdawać w ręce Opatrzności: wszakże zaręczamy oraz najsolenniéj autora, że rąk nie opuszczamy, aż do ostatecznego zaparcia się wszelkiego czynu. Jeżeli u autora czyn znaczy tyle co rewolucyja, gwałt, niepokój, nieustanne wstrząśnienia, tośmy wszyscy przeciwnicy takiego czynu. Nie należemy do tych, którzyby w zimie pragnęli popędzić drzewo do wydawania owocu. Ale po za tym takim czynem tysiące i tysiące leży obowiązków, tak względem społeczeństwa, jak względem narodu i ojczyzny. Do tych wszystkich się poczuwamy. A choćbyśmy nadających się zysków politycznych nie chwytali zębami, toć przynajmniéj potrafimy przetrawić. Nie wszystkie w ciele członki zębami, nie wszystkie żołądkiem. Gdybyśmy zapierali się wszelakiego czynu, za cóż na nas zewsząd wrzaski, zacóż prześladuje Moskwa, za cóż niedowierzającym rządy patrzą na nas okiem? O czym wszystkim przecież wspomina autor. Niech raczy autor wględnąć w dzieje, a mniemamy, przekona się, że wszędzie a wszędzie, gdzie zaszli ultramontanie czyli katolicy, starali się sobie stworzyć właściwy swój ustrój państwowy, jako niegdyś i tutaj w tych północnéj Słowiańszczyzny ziemiach, albo dziś w parlamencie angielskim. Prawdopodobnie i polscy sprawy nie zasypiają. Zapierają się najzupełniéj czynu wszelkiego: a przecież chcieliby nawrócić Moskwę! Nie rozumiemy. Całkowicie nie robić nic: a nawracać. Bramińskie zatopienie się w sobie; a oraz apostolstwo katolickie. I opór jest przecież rodzajem czynu. W zagadkach prawi autor, nie równie trudniéjszych do pojęcia, niźli najtrudniejszy dogmat oślepłego Zachodu!

Nawrócenie Moskwy, nie przeczym, zadanie trudne i bardzo trudne; nie zdaje nam się jednak zbyt wiele niepodobniejszym od odbudowania ojczyzny. O tysiąc mil od Warszawy, prawda jest, że marzono nieraz śmieszne a nawet dziecinne myśli. Marzono tam przed tysiąc ośmset laty o schrześcijańszczeniu rzymskiego caratu, marzył prosty tylko rybak galilejski; marzono tam o nawracaniu odległych Anglów, o nawracaniu barbarzyńskiéj Germanii, Skandynawii itp. Marzenia te, prawdziwie śmieszne i dziecinne, kosztowały dużo trudu, krwi nawet, ale — niech raczy autor nie zmartwić się, gdy mu odkryjem, że te marzenia ziściły się. Prawdopodobnie tak stopniowo gotowe daléj się iścić, aż dobiegnie do spełnienia najśmieszniejsze, bo najśmielsze marzenie Nauczyciela z Nazaretu, o jednéj owczarni i jednym pasterzu!

W końcu zaręczamy autorowi, ze Ultramontanie mając, jak sam autor przyznaje, na wszystko najściślejsze przepisy, bardzo dobrze wiedzą, jak daleko władzy ustąpić mogą; roli dzisiejszéj i przyszłości swéj bardzo są sobie świadomi. Od lat blizko dwóch tysięcy na widowni dziejowéj żyją, działają, pracują- zamiary ich, dążności, cele i środki, sądzim, ani przeciwnikom nie są tajne.

Zbierając wszystko, co się dotąd rzekło, musiemy określenie autora uważać za tandetny fabrykat, bo co jedną ręką stawia, drugą sprząta. Wszelakoż przydaje nam się bardzo do wielu rzeczy. Najpiérw, iż przekonać możem świat, jak błędne ma pojęcie o Ultramontanach. Powtóre, iż możemy postawić, czym właśnie jesteśmy, luboć znać nas powinni dobrze postronni, bośmy nie dzisiejsi; ale tym bardziéj ziomkowie. Najwięcéj zaś stąd na uwagę zasługuje określenie, iż dają tam sobie świadectwo ludzie, którzy przystać muszą na miano *Polskie Katoliki*, gdyż nazwa: Polscy katolicy od wieków ultramontanom się należy, a u nas po staremu dawna zasada: *suum cuique*. Polskie tedy ci katoliki mienią być katolicyzm względem siebie *hybrydem*; aliści tym samym piszą na siebie wyrok. Bo w jakim położeniu katolicyzm względem nich, w takim samym czyli parallelnym oni względem katolicyzmu. Są zatym hybrydami, mięszańcami, i rzecz to jasna jak dzień. Cokolwiek katolicyzmu, ile przystoji; reszta zasad katolicyzmowi nieprzyjaznych. Katolicyzm rzymski: oślepły: oni Illuminaci; katolicyzm ze Zachodu: oni ze Wschodu i to Wielkiego. A tak wiemy już jasno

z kim mamy do czynienia, co nie jest bez wielkiéj dla nas korzyści.

Katoliki polskie, utrzymuje autor, tworzy tradycyja narodowa. Nie chcemy się spierać, że tak nie jest; luboć nam się wydaje, że tradycyja narodowa, tworzy tylko obywateli, członków narodu. Co do nas katolików Ultramontanów, nas tworzy prócz powołania bożego tradycyja religijna, chociaż jako Polacy i narodową żyjem. Ale co: to ciekawiśmy wiedzieć, które to tradycyje? Bo choć mają być jasne, widoczne, czytelne w dziejach, my, prawda wedle autora oślepli, wcale takich nie widzim. My Ultramontanie trzymali się zawsze tradycyji wyrobionéj na zachodnim katolicyzmie, a co gorsza, przyznajemy się pokornie, trzymaliśmy się tradycyji zgoła jezuickiéj t. j. ze Skargą słuchaliśmy Kościoła rzymskiego, czciliśmy królów, chowaliśmy karność, brzydziliśmy się rozterkami, uciskaniem, obłudą. To jest nasza stereotypowa tradycyja, za pomocą któréj i dziś się rozumiemy, jednoczymy i idziemy razem. A jeżeli polskie katoliki nie idą za tą tradycyją, przez którą Zachód został czym jest, to może im się podoba ta, która rąbała biskupów, topiła kapłanów, wyrzucała plebanów, a sprowadzała predykantów, to może lubują w tradycyji rokoszów, bratobójczych wojen i zajazdów, jnrgietów i t. p. Tego zaś wszystkiego im, jako ludziom swego rodzaju, bronić dziś wcale nie jesteśmy w stanie: ale pytamy się, czy ten masoński katolicyzm z nieokiełznanym rozumem i wolą, zdolen jest doprowadzić do czegoś więcéj nad zburzenie!? Wszakżeż pożywamy już do przesytu gorzkiego owocu téj polskiéj tradycyji. Zatym baczność ultramontanie przed ludźmi autoritetu z tamtego obozu!

Niech nam jeszcze pozwolono będzie przeciwko autorowi najsolenniéj zaprotestować w imieniu Ojców naszych. Zdziwiły się duchy Stanisławów, Wincentych, Kantych, Hoziuszów, Kazimierzów, Janów it.p. rzucone między hybrydy, między polskie katoliki. Nie w tradycyji jakiéjś polskiéj, tylko w kościele rzymskim czuli się katolikami, bo wiedzieli, że bez Rzymu katolicyzmu nie ma, a kto krom Rzymu takim się mieni, nim nie jest. Zachód też cały katolicki z ogromnym swym zastępem mężów nauki i czynu, dziękuje autorowi, że go w okręgu dantejskim oślepłych zamieścić raczył. Wszelako, kiedy u nas *„całość, siła wielka, środki do życia i trwania“* zapraszamy uprzejmie i autora i polskie katoliki do naszéj gromadki, jeżeli im ich katolicyzm do naszego jeszcze zupełnie powrotu nie zagrodził.

KORESPONDENCYJE.

⁎ **Rzym** *27. stycznia 1868.*

Wedle nadeszłéj przed paru dniami telegraficznéj depeszy przyjechać ma niebawem do Rzymu ksiądz Arcybiskup Haynald. Jednak słychać, iż zastrzegł sobie, że w układy żadne ze Stolicą św. wchodzić względem konkordatu nie będzie, jedno n usilne prośby cesarza Austryjackiego podjął się osobistych przedstawień samego cesarza do osoby Papieża. Powiadają, że p. Beust tego półśrodka użył, aby koniecznie otrzymać tę podróż Arcybiskupa z Koloczy, któréj mu trzeba do procesu, który chce wytoczyć Stolicy Apostolskiéj. W tym procesie bowiem zamierza sposobem sekciarzy, zrzucić na Ojca św. zerwanie konkordatu, oświadczczając, iż wszystko, zrobił, by dojść do układów, które jeśli do skutku nie przyszły, to jedynie z winy Stolicy ś. — Widać, że ten nowy pupil Napoleona III. doskonale skorzystał z nauk swego mistrza, bo postępuje *quoad litteram*, tak jak postępuje pierworodne Napoleona dziecię, któremu na imie jest królestwo włoskie. Napoleon sądzi, że im więcéj rządów upodobni do państwa włoskiego, tym łacniéj mu przyjdzie doprowadzić Ojca ś. do zgody z Florenckim rządem. Snać ani w Boże posłannictwo Kościoła nie wierzy, ani dziejów Kościoła nie zna. Gdyby te bowiem nie były mu obce, wiedziałby zgóry, że ani siła, ani liczba odszczepieńców nie zdolne są zastraszyć Stolicę Apostolską, która choćby przez wszechżywych ludzi opuszczoną była, zawsze moc żywą mieć będzie w sobie, bo ta jéj od Boga spływa wedle nieodmiennych Jego obietnic Kościołowi danych. Bądź co bądź Napoleon podobny jest do Mickiewiczowskiego Almanzora, który gdy uściska kogo, zaraz w nim dżumę zaszczepi. Teraz jest koléj Austryji po Włoszech i Meksyku, na których Almanzorowskie swe czułości naprzód wylewał. Tymczasem położenie p. Crivelli jest coraz trudniejsze. Podobno sądzi sam, że rychło odwołanym będzie bo jako człowiek uczciwy, nietylko już jako Chrześcijanin i katolik, roli mu przez P. Beusta wyznaczonéj, w żadnym razie nie myśli wykonywać. —

Wedle wiadomości ostatnich powiadają, iż na miejsce dzisiejszego Nuncyjusza portugalskiego, który w Marcu kapelusz otrzyma, wysłanym będzie Nuncyjusz dziś bawiący w Brukseli: *Monsignor Oreglia di S. Stefano.* Jestto młody prałat bardzo zdolny i gorliwy. Na miejsce zaś sekretarza propagandy Mgr. Capalti, Ojciec ś. przeznaczył Mgr. Sinnoni, wysoki piastującego urząd już w propagandzie. Jest on jednym ze siedmiu protonotaryjuszów Apostolskich rzeczywistych, i należał do komisyji Papiezkiéj, która się zajmowała założeniem naszego Polskiego w Rzymie kollegium. Wszyscy tym zmianom poklaskują, gdyż oba ci prałaci są ze wszech miar godni łaski Ojca św.

Niemoralność osób składających rząd piemoncki coraz bardziéj się uwydatnia. — Wciąż głośniéj mówią tamci ponowie, to o ogłoszeniu bankructwa, to o haniebnéj redukcyji odsetek krajowego długu z pięciu na trzy od sta. Że doprowadzili skarb Włoski do położenia, z którego wyprowadzić go nie zdołają bez krzywdy publicznéj, o tym nikt nie wątpi, ani się temu dziwi, lecz że rozprawiają bez rumieńca na twarzy o oszukaniu wierzycieli państwa, to wiecznie dziwić musi każdego uczciwego człowieka. Ale wśród tych ludzi wyobrażenia godziwe są do tyla zatracone, że wstyd żadnéj hańby im jest nieznany. — Na pewnym zebraniu towarzyskim przed kilkoma dniami w Neapolu, jenerał, nie garybaldyjski, ale regularnego wojska, twierdził, że wojna Włoch z Francyją jest konieczną. Na takowe twierdzenie człowiek rozsądny i uczciwy odrzekł, iż wojna taka byłaby ostatnią dla jedności włoskiéj zatratą, bo skończyć by się mogła jedynie Francyji zwycięztwem. Ow tedy jenerał, szlachcic z rodu, a chrześcijanin i katolik ze chrztu ś. odparł „to nic nie znaczy, bo w razie takim pozbędziem się Napoleona za pomocą bomb orsiniowskich.“ Włosy na głowie zacnego oponenta stanęły, w uniesieniu wyrzekł wyrazy uchybiające Jenerałowi, który zniósł i tę porażkę, przygotowując zapewne w duszy jaką bombę orsiniowską i dla swego osobistego zwycięzcy także. Skąd inąd musieliście wyczytać prawdziwie uliczną scenę, przez którą izba poselska we Florencyji nową okryta hańbą została. Dwóch posłów, z których jeden jenerał wojska regularnego, a drugi jenerał wojska Garybaldskiego, wypoliczkowawszy się nawzajem, przystąpili do kułakowego boju, ledwie koledzy rozłączyć ich zdołali. Nazajutrz miejsce miał pojedynek. Bo wśród tych panów grzech grzechem, zbrodnia zbrodnią się zmazuje. Im onych więcéj, tym większéj ci bohaterowie dostępują sławy; i lodowaty mróz, jakby

elektryczną iskrą przebiega po żyłach człowieka na myśl, że ten to rząd i takich ludzi polskiemu narodowi niektórzy ludzie za przykład ośmielają się stawiać. —

Dziś rano umarł w Rzymie Monsignor de Witten, minister spraw wewnętrznych Jego Świątobliwości, mąż nabożny, biegły prawnik, urodzony 1805 roku, mianowany sędzią, czyli audytorem Najwyższego trybunału ś. rzymskiéj roty w roku 1851 a w 1865 podniesiony do wysokiego stanowiska ministra spraw wewnętrznych, na którym w najtrudniejszych czasach dla rządów Papiezkich ze wszechmiar odpowiadał godnie zaufaniu Ojca św. —

28 stycznia. Wedle świeżo otrzymanéj depeszy telegraficznéj umarł w Paryżu senator jenerał Gemeau, który przez lat kilka był głównodowodzącym wojsk francuzkiéj załogi w Rzymie. Jak wszyscy jego i prawdziwie wszyscy jego następcy, jenerał Gemeau przybył do Rzymu postępowcem, a poznawszy w nim wiarę i rządy Ojca ś. odjechał doskonałym katolikiem i gorliwym Papieżnikiem. Coroczne jego wymowne przemówienia we francuzkim senacie, któremi dzielnie i odważnie bronił władzy doczesnéj Chrystusowego Namiestnika, wieczystą zapewniły mu chwałę na ziemi i w Niebie. Ojciec ś. szczególniejszym sposobem też nieboszczyka cenił i między innemi dowodami swéj ku niemu łaski, którą mu przy każdéj okoliczności świadczył, na Nowy Rok zawsze własnoręcznym go obdarzał listem. —

Choć wczoraj dopiero minister spraw wewnętrznych zszedł ze świata, już dziś na mieście wymieniają jego następców. Jedni bowiem twierdzą, że tekę otrzyma adwokat Lupi, dzisiejszy prezydent Rzymu i komarki, a drudzy, że do ministeryjum powołany zostanie Monsignor Scapilla, który obecnie jest papiezkim delegatem w Civita-Vechii. Obaj są ludźmi zdolnymi, więc bardzo być może, że jeden z nich opróżnione miejsce ministra spraw wewnętrznych otrzyma. —

29 stycznia. Wyraźnie Anglija umizga się Papieżowi, bo potrzebuje pomocy jego w sprawie Fenianów. Pan Odo Russel przedstawiciel nieurzędowy angielski, oświadczył kardynałowi sekretarzowi stanu, że otrzymał polecenie od królowéj Wiktoryji i jéj rządu, zaprzeczenia przed Ojcem ś. dziennikarskiéj pogłosce, wedle któréj ręczono, że książę Walii ofiarował grube pieniądze na składkę dla Garybaldczyków. *Kiedy trwoga, to do Boga,* mówi starożytne przysłowie. Zastraszona Wielka Brytanija drży przed sądami Bożymi i w tym dowód wielki składa praktycznego rozsądku swego. Zaprawdę bowiem położenie społeczne tego kraju jest coraz gorsze. Usuwanie się angielskiego rządu od wszelkiego stanowczego udziału w sprawach stałego lądu wielu bierze za obojętność wielkiego samoluba, kiedy istotnie jest ono tylko zachwianie się olbrzyma morskiego, który nadużywszy przez czas długi swéj potęgi na szkodę Europy, po któréj wszechkrańcach siał bezrząd i buntu chucie, dziś we własnych swych poddanych zbiera owoc zasianego ziarna gdzieindziéj. Nie dziwiłoby nas wcale, żeby Anglija niezadługo zaczęła błagać o przysłanie do Londynu Nuncyjusza, którego przyjmować od wieków nie chciała. —

Wielcy panowie Angielscy, bawiący téj zimy w Rzymie, wszelkich używają zalotów, by sobie pozyskać przychylność Stolicy ś. Jako protestanci nie rozumieją, że Stolica Apostolska bez względu na zachowanie się czyje bądź sprawiedliwość wszędzie i zawsze wypełnia, że w jéj oczach ludzkość cała jest jéj dzieckiem, z którym postępuje nie wedle okoliczności, ale wedle potrzeb tego dziecka duchowych i wiecznych. Dla tego Lord Clarendon publicznie o przyszłym jedności Włoch rozpadzie się wyraża, on, który był niegdyś najsilniejszą onéj podporą. Z Florencyji zaś rzeczywiście nie wiemy, czy bardziéj bolesne, czy bardziéj śmieszne wiadomości przybywają. Tak kraj ten biedny wyskoczył z zakresu dróg przez rozsądek zwykły zakreślony, że wszystkim wydaje się szaleństwem, co tylko tam się dzieje. Niesłychaną wieść zaprawdę telegram wczoraj przyniósł. Wedle niéj izba sama, to jest, lewica żąda izby rozwiązania. Zły to znak choć dotąd nieznany w dziejach parlamentaryzmu. Widocznie lewica czuje się pewną nowych wyborów, a skoro zechce rzeczywiście być rozpuszczoną, łatwo celu swego dopnie. Bo czego prożba nie otrzyma, to groźba dokaże. Słychać znowu, że ex katolik Menabrea szuka na gwałt kupców i bankierów, którzyby weszli z nim w układy o zrabowanie Kościołowi dóbr, którym rząd podołać nie może, a pieniędzy coraz gwałtowniéj potrzebuje. Ale wszystkie banki poważne za warunek *sine qua non* do jakichbądź układów stawiają zgodę ze Stolicą ś. Z tego samego zgadniecie, czy p. Menabrea do pożądanego dobrać się zdoła grosiwa. Nic smutniejszego nad widok exkatolika i exzachowawcę, który dla dojścia do władzy do bezbożności i rewolucyji obozu wstępuje. Tacy zwykle myślą, że z obozu tego wychodzi się tak łatwo, jak się do niego wstępuje. Rychło każdy mógł się przekonać, że to fałszywa rachuba. Ale ambicyja i głupota pychy to są najgorsze wzroku duchowego choroby. Niedługo już to włoskie państwo potrwa. Najzaciętsi stronnicy P. Menabrea przyznają, że on rychło upadnie, a za nim pójdzie tymże samym śladem dynastyja sabaudzka. Czas który im miał służyć, posłużył nam. Ludzie ziemscy z ziemi myślą, że tylko wieczność jest Boga własnością, a że czas do nich należy! Co za szaleństwo! Czyż kto słyszał kiedy, żeby Pan kapitału w normalnym rzeczy stanie nie był i odsetków zarówno panem?...

Skon księdza biskupa Benjamina głębokim smutkiem Ojca św. przejął. Pius IX. cenił tego znakomitego prałata, który wśród najtrudniejszych okoliczności nie odstąpił od zasad świętych, a mimo to nie zadzierał samowolnie z najgorszym dla kościoła w świecie istniejącym rządem. W częstéj on był i prawdziwéj synowskiéj korespondencyji z Ojcem ś., z któréj papież mógł się nauczyć go kochać i cenić. Nieraz o nim mówił, „*to Polak po dawnemu, bo katolik do szpiku kości.*“ Wszyscy sobie tu wystawiają, jak okrutnie boleśnym musiał być skon tego świątobliwego biskupa, który przeżył swą dyjecezyją. *Non est dolor sicut dolor meus,* miał niewątpliwie na ustach, na wzór swego Bożego mistrza, kapłana kapłanów. Osierocenie to dyjecezyji podlaskiéj jest bardzo Stolicy ś. dolegliwym, która nie zważając na moskiewskie zamachy, ofiary carskie, zawsze jako żywe swe dzieci kocha i o ich dobro się troszczy. Oby przykład ks. Biskupa Benjamina był przykładem dla całego Duchowieństwa naszego. Oby mianowicie ks. administratorowie Chełmski i Mohilewski nareszcie się spostrzegli, że bez Stolicy ś. serca i światła Biskupowi nie ma ani chwały za życia, ani spokoju w skonu chwili, ani zmartwychwstania w wieczności. —

4 lutego. Od dni kilku dzienniki zajmują się *listem politycznym* jenerała Lamarmora, i rozbierają go i chwalą i na przemian ganią, stósownie do przekonań lub interesu piszących. Ciekawym nadewszystko jest w tym piśmie wyznanie wyszłe z pod pióra tego męża stanu państwa Włoskiego, że złem trojakim jest to państwo pożerane. Na pierwszym miejscu stawia maniję popularności, na drugim maniję oszustwa, a na trzecim maniję ganienia wszystkiego, co się w ojczyznie jego dzieje. Dziwną zaprawdę jest żądza pana Jenerała, żeby nie ganiono rzeczy stanu, opartego na klęsce maniji popularności i na dżumie maniji oszustwa. Ale najważniejszą zdaniem naszym, częścią téj broszury jest ta, w któréj p. Lamarmora opowiadając swe z rządem Napoleońskim rokowania, dochodzi do twierdzenia, że rząd ów sprawiedliwie wyznaje niemożliwość przeniesienia stolicy Włoch do Rzymu, jednak że powinien by przystać na uszczuplenie granic Państwa Papiezkiego. To uszczuplenie wedle p. Jenerała załatwiłoby wszystkie włoskiego zagmatwania politycznego i społecznego kłopoty. Tego ustępu lekceważyć nie możem i tym bardziéj nad nim zasta-

nawiać się należy, z powodu, iż to pismo p. Jenerała *ex*, a może i *przyszłego ministra* wyszło na jaw w chwili, w której coraz głośniéj zaczynają mówić w świecie o nowéj konwencyji, zawrzeć się między Włochami, a Napoleonem. Nie od rzeczy jest też tu napisać, iż jednocześnie półurzędowy dziennik *La Patrie* zaczyna przebąkiwać o reformach, które Papież w swym państwie powinien by zaprowadzić i o zbytnim zbrojeniu się wojsk papiezkich. Wszystko to dowodzi, że Napoleon zaczyna powracać do dawnych swych z Włochami zalotów, że coś knuje przeciw Papieżowi, że przełknąć nie może głosowania ciała prawodawczego, które wyrwało z ust *p. Rouhera* owo sławne *nigdy*, na którym nie należy opierać się bardziéj, niż na jakim bądź innym wyrażeniu Napoleońskiéj polityki. Coś jest w powietrzu co zaczyna komedyją Bonapartów na nowo wskazywać, przestrzegamy o tym naszych katolickich czytelników, aby się przygotowywali do nowéj burzy, do nowych na Kościół zamachów. Co zaś do postępowców, wcale nic przeciw temu nie mamy, bo wiedzieli, że knować spiski mogli, póki ich nie znano, ale że teraz trudniejszą jest sprawa. Szalony ten, kto się czego dobrego od Napoleona III. spodziewa. On tylko to dobro zdziałać zdolen, do którego Opatrzność go przymusi. Z najróżnorodniejszych źródeł wiadomości przychodzące o tym cesarzu na jedno się zgadzają, że się zzyma na ciało prawodawcze francuzkie, które go do polityki uczciwéj zmusiło. Co za pyszną grę mają teraz te rządy, którym Napoleon jest nie narękę. — Niech tylko sztandar religiji, prawa i sumień czystości wywieszą i na nim w uczynkach się wesprą, a bez żadnéj *koalicyji* Napoleona zwyciężą. Każde przez kogobądź wyrzeczone słowo za prawami Stolicy św. Napoleona do wielkiéj przywodzą rozpaczy, bo mu wydzierają tym sposobem miecz, który pokazuje katolikom, na dowód, że nim broni lub będzie bronił Papieża. Pod tym względem Hiszpaniji polityka stronnie Napoleona niepokoji, i gdyby nie jedność niemiecka, która mu nad Renem grozi, toby już jakiś *coup d'Etat* przeciw katolickiéj Hiszpaniji przedsięwziął. Nie obejdzie się jednak bez przyjścia do walki między postępowością a Hiszpaniją. Hiszpanija bowiem, jedna z katolickich mocarstw, śmiało się katolicką nazwała i jako taka postępuje, odkąd *Narvaez* znajduje się u steru rządu. Też Bóg niewątpliwie, jeśli Hiszpanija na tym stanowisku wytrwa, da jéj w nagrodę podniesienie się z rozpadu, w który ją postępowcy strącili za pomocą Angliji i Francyji. Śmiało, zdaje nam się, taki dylemmat postawić możem, albo Hiszpanija rychło obroni Papieża od postępowości, albo téjże ofiarą krwawą się stanie. Niechby to pojęły te rządy, w których interesa Napoleon rękę swą wtyka, a za pomocą Hiszpaniji mogą cele swe otrzymać. *Wygnać Napoleona ze Rzymu, jest to wygnać z Francyji.* Kto trochę głębiéj zastanawia się nad polityką współczesną, temu ta formuła może się stać przedmiotem ważnego rozmyślania. — Potężny głos Montalamberta, wiernego naszego przyjaciela odezwał się pomimo, że go ciężka choroba od dwóch lat do strasznie dokuczliwego łoża boleści przykuwa. Nigdy bowiem nic ważniejszego stać się nie może na Polski widnokręgu, bez odezwania się tego sługi nieszczęścia, tego obrońcy słabych a wiernych, tego najwierniejszego Polski przyjaciela. Skon hrabiego Władysława Zamoyskiego natchnął dawnego mówcę chrzescijańskiego izby francuzkich panów. Tak to po wszystkich świata krańcach będzie wymówione Zamoyskich znowu nazwisko z uczuciem uwielbienia. Wyrazy te niech będą słabym odbiciem wdzięczności naszéj dla hrabiego Montalamberta. Artykuł jego o Zamoyskim w *Correspondent* umieszczony niezmiernie tu jest czytany, i jak się spodziewać należało, wzbudza zajęcie i uznanie powszechne. —

W téj chwili udzielony nam został *Czas* z dnia 28 stycznia. Znaleźliśmy w nim ciekawą korespondencyją z Rzymu, wedle któréj jagnię i wilk się uścisnęli i w serdecznym tym objęciu obmyślili sojusz, mocą którego przeobrazić zamyślają świat. Pius IX. i Napoleon III. zrozumieli się i katolicką polityką mają zbawić Polskę, zwyciężyć protestantyzm i schyzmę i germanizm, i wszystko, co jest w świecie nie pomyśli szanownego korespondenta, i znowu wszystko się kończy starożytnym: *risum teneatis amici!* Zaprawdę, nie pojmujemy skąd pan korespondent wyśnił sobie ten sojusz, to współpojęcie, które miało wedle niego nastąpić między Papiezem, a Napoleonem. Wprawdzie P. koresponpent czerpie swe wiadomości, jak zawsze powiada, z bardzo wysokich dyplomatycznych źródeł, ale tym razem rozumowanie jego tak jest przeciwne zdrowemu zmysłowi, tak niezgodne z przeszłością, że istotnie nie pojmujem, pod jaką śnił gwiazdą, gdy tę korespondencyją usnuł. Co? Napoleon III. miałby tak samo czuć i myśleć, jak Pius IX! Chyba jeden z nich się odnapoleonił, a drugi przestał być Piusem. Dopókąd jednak dowodów podniesienia się Napoleona, albo upadku Piusa nie zobaczym, póty wybaczy p. korespondent, ale nie tylko my, lecz i nikt na słowo jego téj metamorfozie nie uwierzy. Dobrym jest jednak przypomnieć, że ilekroć Napoleon jaki nowy cios obmyśla i przeprowadza przeciw Papieżowi i Kościołowi św., tyle też razy ajencyje Napoleońskie wyśpiewują pieśni o najlepszych stósunkach istniejących między Rzymem a Papieżem. Są to sekciarskie połapki na łatwowiernych katolików, których należy uśpić na dzień burzy, aby błyskawice przyjęli za słońce, a pioruny za złotorodne jajko. Tak to jednocześnie w Paryżu dzienniki półurzędowe ogłosiły, że Papież posłał Napoleonowi miecz Karóla Wielkiego, a późniéj miecz i kapelusz poświęcony przez Papieżów dla *benemerytów* Kościoła ś. i zarazem szanowny korespondent *Czasu* na zbawieniu Polski, dla polskiéj publiczności usnuł tkaninę sojuszu między Papieżem, a Napoleonem, żeby tego ostatniego podnieść w sądzie rozsądnéj powszechności kraju naszego. O przyszłości nie przesądzamy, może Napoleon bosą nogą przyjść do Rzymu i umierać pokutnikiem u Trapistów, ale dotąd baczmy, że nie zdjął obuwia, ni nawet ostrogi od butów nie odczepił, ostrogi w krwi katolickiéj pod Castelfidardo zmaczanéj, bo jeśli on w Castelfidardo nie był, to nie mniéj był współczynnikiem Pana Cialdiniego i spółki. Zwróćmy też uwagę i na to, że zaraz po udzieleniu wyżéj wymienionych wiadomości półurzędowe dzienniki papiezkie zaczęły śpiewać o potrzebie reformowania rządów Papieża, o potrzebie nowéj z Włochami konwencyji i t. d. zapewnie więc p. korespondent *Czasu* natchniony przez wysokie osoby kancelaryji p. *Sartiges*, tylko przygotowawczą korespondencyją dotąd o sojuszu między Napoleonem a Papieżem wypalił, a resztę zachował przykładem swych braci Paryzkich, na przyszłe numera dzienników, do których pisuje. W każdym razie dosyć podziwiać nie możem wytrwałości, z którą szanowny ten korespondent służy Napoleonowi. Bo jeśliście zauważyli, nieraz jedności włoskiéj się przeniewierza, wedle wiatru wiejącego z nad brzegów Sekwany, ale Napoleona niezmiernie na potężnych swych barkach dźwiga. Pięknie to z jego strony, bo mu tak służył za czasów jego potęgi i dziś, gdy gwiazda jego zgasła. Pięknie to zaprawdę bronić przyjaciół w każdéj życia porze, ale gdyby p. korespondent był zwiedził murzynów kraje, toby się był przekonał, że nie ma mydła w świecie na odczernienie *czarnych*. Niech jednak nikt nas nie bierze z powodu tego wyrażenia za nieprzyjaciół murzynów, i nie zawnioskuje, że pragnęlibyśmy sprzedać Napoleona, bo my marzeniom się nie łacno od dajem, i wiemy dobrze, że dziś nikt by go nie kupił. Co on wart dzisiaj, odkąd biedny Maksymilijan w Meksyku, Wiktor Emanuel we Włoszech, a p. Beust w Austryji całą mądrość jego wyssali! Skoro już p. Beust nawinął nam się pod pióro, musim tu zapisać, że mu się wcale nie wiedzie w sprawie konkordatu. Arcybiskup Haynald stanowczo odmówił jechać do Rzymu, gdyż tylko zażądał, by mu jasno wypowiedziano myśl austryjackiego rządu. Z drugiéj strony słychać,

że hrabia Crivelli nie ma zamiaru żądaniom p. Beusta zadosyć uczynić, w których dostrzega hańbę swego cesarza i zatratę moralnéj podstawy państwa austryjackiego. Z tego wypada znowu, że się nie mylim, ilekroć twierdzim, że nie należy uczciwym ludziom usuwać się od rządów nieuczciwych, bo choć ich działalność nie wiele dobrego może przeprowadzić, sama ich przytomność jest do wielu niegodziwości zaporą. I zaprawdę odkładając już na bok w zamiarze zerwania konkordatu austryjackiego, wszelkie względy religijnéj godziwości i honorowych zobowiązań, podniesienie téj sprawy jest w dzisiejszéj chwili zupełnym zdrowego rozsądku lekceważeniem. Jakżeż bowiem przypuścić, żeby Stolica ś. dziś do jakichbądź układów nowych przystąpić chciała, chociażby nawet drogą przyzwojitości te miały być przeprowadzone, kiedy Papież gotuje sie do soboru, którego jednym z głównych właśnie zadań będzie określenie stosunków Państwa z Kościołem? Czyżby nie było śmiesznym zawierać w sprawach tak ważnych umowy, które by nie miały czasu nawet dosyć, aby mogły być wykonane. Myśl taka jest godną niemieckiego doktrynera, przed którego na zimno rozpalonym mózgiem wszystko ustępować musi. — Tymi dniami między licznymi nowymi młodzieńcami, przybyłymi z różnych stron świata, do wojska kościelnego pojawił się Meksykański książe *Iturbide*, synowiec przedostatniego cesarza Meksyku, którego cesarz Maksymilian, przyswojiwszy na swego spadkobiercę był wysłał do Europy dla ukończenia nauk. Młody książe Iturbide, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, w którym się znajdował przybrany ojciec i dobroczyńca, w zeszłym roku wbrew woli wszystkich, podążył do Meksyku, by własną piersią cesaza Maksymilijana zasłaniać. Szlachetny ten uczynek wyjednał mu u Boga widocznie łaskę pojęcia, że w dzisiejszym rzeczy stanie, sztandar wiary, honoru, rozsądku i sumienia znajduje się w Rzymie! Niestety nie było mu danym bronić Maksymilijana, zaledwo bowiem wylądował w *Vera Cruz* dowiedział się o strasznéj śmierci nieszczęsnego swego dobrodzieja. Powrócił tedy do Paryża, gdzie nauki znakomicie ukończył, i pojechał na pogrzeb cesarza Maksymiliana do Wiednia. Tam cesarz Franciszek Józef radby go był zatrzymał, ofiarując mu świetne i odpowiednie jego osobistości stanowisko, lecz młody książe przełożył nadewszystko zamiar służenia Kościołowi. Przybył tedy do Rzymu. Tu został przez Ojca św. przyjęty najserdeczniéj, lecz o nic innego go nie prosił, jedno o możliwość zostania prostym żołnierzem w wojsku Kościoła św. Rzeczywiście też przywdział przed dwoma dniami mundur pułku dragonów, do którego szeregów się wpisał. Onegdaj przedstawił się królowi Neapolitańskiemu, który uderzony został zdolnościami młodzieńca tego, którego może wielka jeszcze przyszłość spotkać, mianowicie jeśli wytrwa na tak zaszczytnie obranym stanowisku, które jest stanowiskiem przyszłych zwycięztw i niewątpliwie stanowczych. —

Z Parafiji. (Opóźnione.)

W końcu roku ubiegłego w nr. 296 uczynił *Dziennik* wycieczkę naprzeciw Arcybiskupowi z powodu okólnika względem czytelni ludowych.

To było rozumowanie *Dziennika*:

Ks. Arcybisknp odciąga duchowieństwo od udziału w narodowéj oświacie ludu, zakazując, żeby świeckim nie dopomagało w osiągnieniu ich celów: bo te tylko świeckich zamiary, na których korzyść oni radzi wpływ duchownych obrócić i dla tego też o współudział kapłanów się tak starają.

Ks. Arcybiskup, naganiając cele świeckich, powinien był swój programat jakiś postawić, nie usuwać się, nie usuwać duchowieństwa od wszelkiéj pracy narodowéj, gdyż abstynencyja najgorszym jest systematem politycznym.

Ks. Arcybiskup upominając duchowieństwo, aby nie przykładało ręki do szerzenia książek z wydawnictw nie potwierdzonych, daléj idzie, aniżeli kongregacyja indexu, bo zakazuje wszystkiego, na co nie zezwolił, kiedy ta dozwala wszystko, czego wyraźnie nie zakazała.

Mniemam, że dostatecznie wyrażona myśl *Dziennikowa*. Otóż naprzeciw niéj stawimy uwagi, rozświecające dostatecznie wielką omyłkę *Dziennika*.

Ks. Arcybiskup nie zamierzał odciągać duchowieństwa od pracy nad oświatą ludu, boćby tym uchybił powołaniu i urzędowi swemu Apostolskiemu, nauczyciela ludu chrześcijańskiego. Nie mógł nawet chcieć przytłumiać w ludziach uczuć przyrodzonych, boć te od Boga pochodzą i każdy naród ma prawo przyrodzone dziedziczenia tradycyji ojców; a biskup żaden katolicki do pogwałcenia praw bożych, czy to pojedyńczéj osoby, czy całego narodu, ręki nie poda.

Więc o co szło ks. Arcybiskupowi, kiedy ostrzegał duchowieństwo: „często świeccy właśnie dla tego tak się o współudział kapłanów starają, że radzi wpływ ich duchowny na korzyść zamiarów swych obrócić?"

Otóż niezawodnie nie o to, żeby duchowni nie brali udziału w pracach orgnicznych, podjętych przez świeckich, lecz żeby nie dawali się poniżać za narzędzie świeckim, i żeby w granicach winnego posłuszeństwa swéj władzy działali.

Narzędzie jest ślepe i bezumne, wykonuje bez rozmysłu, przewidywania następstw, co mu z góry nakażą kierownicy jego. To nie rola odpowiednia dla tych, których Chrystus Pan postawił na świeczniku świata!

Ci kierownicy u nas, niestety, odznaczają się wielokrotnie zaciekłą nienawiścią ultramontanizmu, t. j. katolików pozostających w jedności duchowéj z Papieżem, z onym biskupem ultra montes; przywłaszczająca sobie miano wyłączne narodowéj, partyja ruchliwa, już w czasach budowania jedności włoskiéj odgrażała się ultramontanom, że biada! jak ona do pracy nad ludem się weźmie; a i teraz *proh pudor, proh dolor*! odzywają się niejedni, i to nie najpośledniejsi narodowcy, ze wzgardą dla form niewolniczych katolicyzmu: więc czyż biskup katolicki mógł nie ostrzedz duchowieństwo, żeby się za narzędzie nie dawali używać ślepe świeckim i takim świeckim?

Nie odciągnął zajiste ksiądz Arcybiskup duchowieństwa od pracy nad oświatą ludu okólnikiem swojim: lecz dopomógł mu otrząsnąć się z roli podrzędnéj, a do ujęcia steru sprawy w ręce swoje.

Oby to duchowni zrozumieć chcieli, że okólnik dla nich raczéj zachętą do szyrzenia prawdziwie katolickiéj oświaty ludowéj! Boć jak tylko przed trybunał cenzury kościelnéj stanowczo pociągnięta literatura ludowa, i jak tylko, co Kościół zaaprobował, ludowi na karm' duchową ma być jedynie dawane: Kościoła ministrowie, duchowni od razu przeważne w sprawie oświecenia ludu odzyskują miejsce.

W tym zakazie rozdawania ludowi dzieł nie wychodzących z poręki wydawnictw aprobowanych, brania udziału w wydawnictwie, nie posunął ks. Arcybiskup swéj gorliwości za daleko, jak to rad natrąca *Dziennik*, kiedy mówi, że ks. Arcybiskup daléj idzie, aniżeli kongregacyja *Indexu*.

Nie prawdą to jest, co *Dziennik* mowi: że zasadą kongregacyji jest: wszystko dozwalam, czego nie zakazuję. Kongregacyja wydała przepisy ogólne: które książki pod nie podpadają, choć nie przytoczone imiennie w spisie dzieł zakazanych, nie dozwolone są katolikowi. I tak niemoralne romansy, choćby nie wzmiankowane z tytułu w Indexie, są ryczałtem potępione, nie dozwolone, i grzeszy, kto je czyta.

Co do cenzury kościelnéj, to pobieżnie nadmienić nie będzie od rzeczy. Koniecznie z ogólnych przepisów kościelnych do aprobaty oddawane być powinne książki treści religijnéj obyczajowéj. Książki wyłącznie naukowéj treści w powszechności nie ma biskup obowiązku cenzurować; ale prawo mieć musi i ma obowiązek i takie, jako zgubne dyjecezanom swym wskazać, gdyby w nich miały być przemycane niecne tendencyje. Duchowieństwu zaś ma prawo biskup polecić rozdawanie książek wyłącznie z wydawnictw aprobowanych; nie ma biskup obowiązku polegać na tym, że każdy duchowny wpierw, nim da książkę ludowi w ręce, sam ją przeczyta. Bo niech by tego nie uczynił: to z książki od proboszcza swego wziętéj niejednéj napojiliby się parafijanie błędem jakim sekciarskim! Wszak to Walerego Wielogłowskiego do ultramontanów zaciekłych zaciekle liberały liczą: a i w jego książce, zresztą pełnéj zalet, o *św. Izydorze* błąd jest dogmatyczny, że męki piekła nie są wieczne, kiedyć przecież dogmatem jest: ex inferno nulla est redemptio.

Powiedzieliśmy, że nie uzasadniony niczym był domysł Dziennikowy, że w okólniku swym miał polityczne względy i widoki. Żadne przynajmniéj wyrażenie okólnika nie uprawniało Dziennik do takiego tłomaczenia.

Stąd też zarzut, że naganiając polityczne drogi świeckich, powinien sam od siebie drogę jakąś wskazać, nie ograniczać się na najgorszym sposobie politycznym abstynencyji upada.

Nagana nie była wypowiedziana dla uczuć narodowych; dorozumiewano się jéj, ale z uprzedzenia wpajanego systematycznie od dawna przeciw osobie ks. Arcybiskupa przez dziennikarzy naszych.

Gdyby takiéj nagany było kiedy potrzeba w razie, iżby cele świeckie wiodły naród w obłędy i grzechy przeciw zasadom chrześcijańskiéj moralności, jak teraz fenijanizm w Irlandyji, a już od dawna karbonaryzm we Włoszech: zapewne by nie zbrakło biskupowi katolickiemu odwagi do wyraźnego ich potępienia. Dziś nie ma słowa potępienia, więc i myśli nie było!

Programatu żądać politycznego od biskupa i wywoływać go na arenę czynnego działania politycznego: czyż to roztropność? Biskup nie ma zadania być choragiem frakcyji jakiéj politycznéj! Inny jego cel i posłannictwo. Kościół działa na społeczeństwo przez szyrzenie zasad zdrowych, socyjalnych i wyroki wielkiéj moralnéj doniosłości: nie to jego zadanie, żeby rzucać się na wzór socyjalistów w wir namiętnéj walki. Więc i biskupowi pozwólcie utrzymać się na wyżynach ponad kipiące zawiścią obozy w dole.

Byle biskup kościelnego swego urzędu obowiązki spełniał sumiennie, a prawdy boże, nie wyjmując dotyczących społeczeństwa i państwa, nieustraszenie głosił mimo wrzawy tłumów, mimo grozy władzców: zasłuży się najlepiéj jak Bogu, tak narodowi.

Dobrze, odpowie kto może; ale czemuż duchowieństwo odciąga od pracy narodowéj.

Pomyłka! Bo jakaż praca pożyteczniejsza dla narodu, od pracy w szkole, na ambonie, w konfesyjonale? A téj nie zabrania! Odciąga od agitacyji w murach kościoła i po za murami od publicznéj, która by mogła sprowadzić klęski nie na jednę lub drugą osobę duchowną, lecz na cały Kościół.

(*Dokończenie nastąpi.*)

(Koresp.) **Dyjecezyja Przemyślska.**

Jeden z księży Przemyślskich, który brał udział w odprawianiu *triduum* w *Wielopolu* dyjecezyi Tarnowskiéj, przesyła opis tego nabożeństwa.

Mieszkańcom miasteczka Wielopola i przyległych doń wiosek, w dyjecezyji Tarnowskiéj, na długo pamiętnemi zostaną dnie 19, 20, 21 stycznia b. r. Były to dnie modlitwy za prześladowany Kościół i męczoną katolicką Polskę. Jakby dla zachęty ludu zwolniał burzliwy styczeń w swéj srogości zimowéj w dnie pańskie. Snać mu Pan nakazał, by nie turbował niewygody swemi do modlitwy spieszących. Ochotnie téż kwapił się lud do dzieła bożego. Kiedyindziéj ciche i samotne prawie ustronie przedstawiało w tych dniach niezwykły obraz ruchu. Nigdy ni jarmark, ni targ — te ponęty lud z domu wywabiające, nie miały takiego powodzenia, jakiego doznały zaprosiny do modlitwy błagalnéj. Od szarego poranku do ciemnego zmroku uwijał się lud po drożynach do kościoła wiodących, i z doświadczoną wytrwałością — a téj w szukaniu pociech duchownych, nikt ludowi polskiemu zaprzeczyć nie może — cisnął się do konfesyjonałów, by wolny od grzechów, czystym sercem mógł się modlić Bogu za cierpiącym Kościołem, Najwyższym jego Pasterzem, i tą umęczoną krajiną, która za swe przywiązanie do sprawy świętéj prześladowanie cierpi.

I było żniwo obfite! Z górą 2000 ludzi odprawiło spowiedź św. Ale też i żniwiarzy nie brakło! Przewielebny JM. Ks. Franciszek Jordan, proboszcz miejscowy, kanonik i dziekan Wielopolski, w chwalebnéj swéj gorliwości, z któréj daleko znany, przejrzał świętą ochotę ze strony ludu. Więc się rozglądnął i za robotnikami do winnicy pańskiéj, i za siewcami słowa bożego na dnie modlitwy. Na prośbę jego stanęło ochotnie 16 kapłanów, w téj liczbie 12 kondekanalnych, a inni z dyjecezyji Przemyślskiéj, z którą sąsiaduje dekanat Wielopolski. O świcie rozpoczynano nabożeństwa; a te krom godzinnéj przerwy o południu trwały do wieczora. Przez całe dnie lud napełniał kościół; szczególniéj kwapił się na kazania, których przez ciąg nabożeństwa na żadnéj sumie i nieszporze nie brakło. Szczególniejszego doznawaliśmy wrażenia, kiedy nam z ambony na Kościół spoglądnąć wypadło. Zebrany lud przedstawiał jakby w jedno zbitą i zrośniętą całość, i z natężoną uwagą słuchał nauk bożych; a taką okazywał ochotę do słuchania tychże, że (może to komu drobnostką się wyda?) kaszlący gwałt sobie zadawali, by nie przerywać cichego milczenia. Ten święty zapał obudziły pewnie stósowne do uroczystéj chwili nauki, których było sześć, a to następującéj treści: 1. Powód zaproszenia na modlitwę 3dniową wraz z zajmującym opisem wszechstronnych napaści na Kościół św. i wiarę św. 2. Tkliwy obraz ucisku katolików w Polsce z dołączeniem budujących przykładów ich stałości. 3. O godności i zacności Chrześcijanina katolika. 4. Piękna nauka o szczęściu i pociesze, jakiemi darzy czyste sumienie. 5. Zajmujący wykład nauki o skarbie odpustów w kościele. 6. Ufność w miłosierdziu i wszechmocy Boga, który po czasach próby nieomylnie da zwycięztwo Kościołowi, swéj oblubienicy i wszelkiéj słusznéj sprawie, wraz z zachętą do dalszéj modlitwy.

I nie żal było tych trudów, jakie w 3dniowéj pracy duchownéj ponieść trza było; bo łzy ludu w czasie kończenia nabożeństwa, bo to tłumne kwapienie się do ucałowania rąk kapłanów w chwili gdy kościół opuszczali, bo to krótkie ale wielemówiące podziękowanie, które lud odchodzącym słał: „Niech Wam Bóg błogosławi za wasze trudy i prace około nas; niech Wam zapłaci za te pociechy święte“, dostatecznym, jak sadzę, są dowodem, że błagalne te modły nietylko miłe przyjęcie, ale i nieobłudne storanie o święte zużytkowanie ich u ludu znalazły. A że te wszystkie pociechy święte — po łasce bożéj — były skutkiem gorliwych zabiegów miejscowego dusz pasterza Przewielebnego JMKs. Franciszka Jordana, więc nie od rzeczy będzie, jeśli — tak w imieniu braci kapłanów, którym nietylko w domu w chwilach wytchnienia z ujmującą gościnną uprzejmością — ale nawet w chwilach pracy w kościele z uznania godną gorliwością przewodniczył, — jako też i w imieniu téj kilkotysięcznéj rzeszy, któréj dobry pasterz dobry zgotował posiłek duchowny, ostatnim słowom wspomnienia o odpuście w kościele Wielopolskim powierzę zadanie pośrednika i zwiastuna serdecznéj dłoń podzięki: „Bóg zapłać!“

Z Tarnowa. Może żadna z prowincyji polskich nie cieszy się w tych czasach taką swobodą prasy, jak Galicyja. Tu téż ruch literacki stłumiony nieco ostatnim powstaniem w Królestwie Polskim, od lat kilku począł się znów szybko wzmagać. Dość tylko odczytać Kronikę bibliograficzną, a prawda naszego sądu w téj mierze okaże się rzeczywistą. Ruch ten literacki postąpił z początkiem tego roku znów o jeden krok naprzód; przybyło nam bowiem w tym już roku kilka dzieł pożytecznych i kilka pism peryjodycznych. Między innymi mamy przed sobą w tym już roku publikowane dzieło pod napisem: *Kilka rysów z Pontyfikatu Piusa IX* przez pana Ludwika Zygmunta hr. Dębickiego. Kiedy inne kraje koronne monarchiji austryjackiéj tak żywo domagały się w ostatnich czasach zniesienia konkordatu, — Polska, ta zawsze wierna córa Stolicy apostolskiéj, nietylko, że nie poszła za tym fałszywym natchnieniem liberałów niemieckich, ale nadto otwarcie i czynnie chce udowodnić swe przywiązanie do Stolicy św. Dowodem tych szlachetnych dążeń jest właśnie wyż wzmiankowane dzieło pana hr. Dębickiego. Nie chcemy tu przed czasem spisywać całego szeregu pochwał dla tak zacnego autora, gdyż wolimy, aby czytelnik sam sobie wyrobił sąd o nim; nie możemy atoli przemilczeć tu téj uwagi, że imię tego zacnego autora jest już w naszym kraju głośne*) z zapatrywań się na sprawy Kościoła, który dziennikarstwo wiedeńskie, a raczéj żydowskie i protestanckie szarpać nie przestaje.

Te uwagi nasuwają nam pod pióro mimowolnie skromną propozycyją, która, oby Bóg dozwolić raczył, skutkiem uwieńczoną być mogła. Mamy tu na myśli wydawnictwo pisma jakiego peryjodycznego dla duchowieństwa w Galicyji. Już to wyżéj powiedzieliśmy, że kraj nasz obfituje w pisma peryjodyczne, które w ostatnich czasach do tego stopnia się rozmnożyły, że prawie każda warstwa społeczeństwa ma już swój organ osobny w pismach krajowych. Polityk i literat, młodzież kształcąca się i ludzie fachowi, rzemieślnik i rólnik — znajdą w pismach naszych krajowych stosowne materyjały, odpowiadające ich wymogom, zatrudnieniom i rozrywce. Cóż tu daléj mówić, kiedy nawet Żydzi we Lwowie aż trzy pisma peryjodyczne redagują! Nie podobna nawet pomyśleć, aby wśród podobnych okoliczności samo duchowieństwo nadal bez pisma peryjodycznego w Galicyi pozostać mogło. Nadto znane są powszechnie tendencyje dziennikarstwa niemieckiego, które z małym tylko wyjątkiem tak skrzętnie wyszukuje okazyje, gdzieby ultramontanistów w czymś podchwycić mogło, — a któreto tendencyje na nieszczęście i do naszych pism krajowych prze-

*) Pan hr. Dębicki był współpracownikiem wydawanego niegdyś „Ogniska“ w Krakowie pod redakcyją W. Wielogłowskiego; jest on daléj autorem dzieła: „Człowiek w przebiegu wieków.“

Do tego numeru Dodatek Nr. 2.